6.000



POCHODNIA SERAFICKA

Rok XII. Marzec 1937. Nr. 3.

OD ADMINISTRACJI.

Każdy Prenumerator Pochodni Serafickiej robiąc rachunek sumienia przed spowiedzią ze wszystkich Swoich zaniedbań, niech też zwróci uwagę czy nie zaniedbał się w wyrównaniu prenumeraty za Pochodnię i inne pisma katolickie. A jeżeli mu sumienie zrobi w tym względzie słuszny wyrzut niech nie trwa dalej w tym zaniedbaniu lecz rychło pospieszy wyrównać wszystkie zaległości. O tym samym obowiązku niech też pamiętają Ci, co dla Kongregacji zamawiają czasopisma, czy to są Księża Dyrektorzy czy Przełożeni Kongregacji.

TREŚĆ NUMERU:

OFIARY ZŁOŻYLI:

Na koszta Kanonizacji Bł. Salomei

Przew. Ks. Dziekan Adam Górkiewicz z Makowa 20 zł. Anna Musialik z Piekar 5 zł. Korzeniowska Stefania z Góry-Kalwarii 2 zł. Misiakówna Agnieszka z Białego dworu koło Koźmina 5 zł. Pawlakowa z Krakowa 10 zł.

Dnia 6 marca odbędzie się w kościele św. Andrzeja SS. Klarysek w Krakowie uroczyste nabożeństwo z Wystawieniem Przenajśw. Sakramentu ku czci Bł. Salomei jako w rocznicę znalezienia Jej św. relikwii. Pierwsze nieszpory dnia 5. III. o godz. 4, dnia 6 marca pierwsza msza św. o godz. $6^1/_2$ suma o godz. 9-tej nieszpory o godz. 4-tej z kazaniem procesją i Te Deum. Na końcu ucałowanie relikwii Błogosławionej. SS. Klaryski zapraszają wszystkich Czcicieli i Czcicielki Błogosławionej do wzięcia udziału w tej uroczystości.

Na Misje franciszk. Kraków Karliński 3 — Rajówna 2. Małodobra 2 zł.

NEKROLOGI

Kongregacja III Zakonu w Batorzu poleca modlitwom Braci i Sióstr swoich zmarłych: śp. Katarzynę Sulowską, śp. Małgorzatę Pastuchę, — śp. Teklę Woś, śp. Szymona Krawczyka. Kongregacja Sióstr Kraków śp. Władysławę Sopińską. Niech odpoczywają w pokoju.

POCHODNIA SERAFICKA
ORGAN III ZAKONU I STOW. FRANCISZK. KRUCJATY MISYJNE

Rok XII. Marzec 1937 r. Nr. 3.



IDŹMY POD KRZYŻ CHRYSTUSOWY

Na gołym, kamiennym szczycie Kalwarii sterczały trzy wielkie krzyże, skropione purpurą krwi.

Na jednym z nich, środkowym skonał przed chwilą w męczarniach niewymownych Bóg-Człowiek, Zbawiciel i Odkupiciel ludzkości.

Skonał Bóg-Człowiek, Jezus z Nazaret. Ten, co uzdrawiał niemocą złożonych, oczyszczał pokrytych trądem. Ten, co przywracał wzrok ślepym, słuch głuchym, a z dusz opętanych wyrzucał szatanów... Skonał Ten, co umarłych z grobu wskrzeszał, co głosił słowa nieśmiertelnego żywota...

Skonał!

I wisi między niebem a ziemią Jezus rozpięty, przykuty tępymi gwoździami do twardych belek krzyża...

Wisi nieludzko umęczony od stóp do głów, okropnie skatowany, pokryty sincami, tysiącem ran i własną, skrzepłą krwią. – Zda się, iż ciało Jego stało się jednym wielkim stosem bólu, na którym pospołu płonęły wszystkie boleści świata całego.

Głowa, opleciona cierniową zamiast królewską koroną, zwisała ku dołowi z obolałej szyi. Oczy, owe

przecudne oczy, którymi patrzył na ludzkość niewdzięczną Bóg-Człowiek, zamgliły łzy i krew. Posiniałe, spękane wargi świadczą wymownie, co przecierpiał Jezus — Mąż boleści.

Ręce, boskie ręce, które błogosławiły, dobrze czyniły ludziom, dziś są rozdarte i wyprężone jak struny. Dziś podtrzymują one bezwładnie opadające ciało, owiane lodowatością śmierci. Nogi Chrystusowe, zbryzgane krwią, pokaleczone ostrymi kamieniami, te święte nogi, strudzone i umęczone chodzeniem w poszukiwaniu zbolałych serc, przebił również niemiłosiernie katowski gwóźdź...

I tak wypełniło się, co przed wiekami o Nim przepowiadali prorocy, iż *„niema krasy ani piękności“*, że *„robak a nie człowiek: pośmiewisko ludzkie i wzgarda pospólstwa“*.

Och! co za widok straszny, przejmujący!...

Raną zaś otwartego włócznią Longina boku, lśniącą rubinowym blaskiem krwi, zda się, że wołał Jezus do zgromadzonej tłuszczy na wzgórzu Trupiej Głowy:

„Ludu, mój ludu, cóżem ci uczynił, w czymem zasmucił, albo w czym zawinił?

Jam tobie dawał słowa wiecznej prawdy, a ty mi dajesz szyderstwa, pogardy. Jam ciebie pojął żywej wody zdrojem, a ty mnie raczysz goryczy napojem...

Ludu, mój ludu, cóżem ci uczynił?

Jam ciebie odział w majestat boski, a tyś mnie odarł z godności ludzkiej. Jam cię prowadził na niebios stolicę, a tyś mnie zawiódł na krzyż — szubienicę...

Ludu, mój ludu, cóżem ci uczynił, w czymem zasmucił, albo w czym zawinił?...

Jednak wymowa boskich ran, sinców i otwartego boku nie wzruszyła ani faryzeuszów przewrotnych, ani żądnych pieniędzy bogaczy ani tłumów rozszalałych, co wczoraj jeszcze krzyczały: Hosanna! a dziś: Ukrzyżuj! Strać!

I pozostały serca ich twarde, zakamieniałe. Pozostały takimi na wieki długie.

Ci bowiem, którzy śmiali się wonczas na Golgocie, nieczuli na Chrystusową Mękę — nie wymarli. Oni i dziś jeszcze żyją w swych potomkach, którzy płoną wściekłością przeciwko Temu, który im przebaczył, miotają zelżywości na Tego, który umarł za nich na krzyżowym drzewie.

Nie wymarli... I żyć będą do końca wieków.

Lecz przemówiły Chrystusowe rany do serc ludzi dobrej woli, a zwłaszcza do seraficznego serca św. O. Franciszka. I jakże wzruszyły one ich dusze i uczyniły je wielkimi, bohaterskimi, świętymi.

My, franciszkowe dzieci, wejrzyjmy na św. naszego Ojca — miłośnika Ukrzyżowanego Pana. Wejrzyjmy na Niego i naśladujmy Go.

Od zarania swego „nawrócenia" umiłowanym przedmiotem rozmyślań dla św. naszego Patriarchy była Męka Pańska. Ze łzami w oczach, żalem i współczuciem w sercu rozważał On, co przeszedł Chrystus od Betlejem aż do Golgoty, rozważał, co przecierpiał Syn Boży, by nas ludzi niewdzięcznych, odkupić i uczynić dziedzicami Bożego królestwa.

U stóp krzyża, przebywając długie godziny, czerpał św. Ojciec moc, siłę i hart ducha do życia na modłę Chrystusową, do życia wedle zasad ewangelicznych. U stóp krzyża, wpatrzony w bolesne rany Zbawiciela, uczył się nasz św. Zakonodawca, jak znosić cierpienia i niedostatki, jak dźwigać „krzyż swój na każdy dzień" z pogodą i weselem ducha. U stóp krzyża, w świetle blasku bijącego z przeczystego boku Jezusa, zrozumiał czym jest grzech, a czym miłość. Tu zrozumiał On, że obowiązkiem każdego śmiertelnika jest: upodobnić się do Chrystusa, stać się drugim Chrystusem.

Płomienna, seraficka miłość św. O. Franciszka ku

Chrystusowi cierpiącemu sprawiła, że Jezus Ukrzyżowany ozdobił Jego ciało bliznami Swych św. ran. I tak uczynił Franciszka drugim Sobą, drugim Chrystusem.

Bracia i Siostry III Zakonu! Jeźli pragniemy być prawdziwymi synami i córami św. Patriarchy z Assyżu musimy ukochać Jezusa cierpiącego, musimy ukochać Chrystusów krzyż.

Idźmy więc teraz, w czasie pokutnym-postnym pod krzyż Zbawicielowy. Współczujmy tam z Chrystusem w Jego boleściach. Czerpmy tam siłę płynącą z Chrystusowych ran do walki z grzechem, do praktykowania cnót, do znoszenia cierpień i dolegliwości.

Niech krzyż Chrystusowy stanie się dla nas tym czym stał się dla św. O. Franciszka, który mówił: „Osłodą i pociechą moją to krzyż Jezusa Chrystusa: nie ma na świecie innej księgi, która by mogła mnie więcej czegoś nauczyć i pewniej pocieszyć duszę moją; w niej znajduję przedmiot ciągłych moich rozważań i gdybym miał żyć do końca świata nie potrzebowałbym innej księgi“.

A. S. K.

Przy małej wiejskiej kapliczce,
stojącej wedle drogi,
Ukląkł, rzępoląc na skrzypkach,
wędrowny grajek ubogi...
Spraw to, ażebym zawsze umiał
dziękować Ci, Panie,
Że sobie rzępolę, jak mogę że
daję Ci, na co mnie stanie.
I niech się zawsze przyznaję
choś do najskrytszej przewiny
I wielką niech czynię spowiedź
w obliczu ludzkiej rodziny.
I niechaj pomnę w mem życiu,
czy bliskiem, czy też dalekiem
Żem człekiem jest przedewszystkiem
i niczem więcej jak człekiem.

JAN KASPROWICZ:



Święty Józef



Jak wonny kielich polnego kwiatu,
Żył święty Józef nieznany światu.
Bez skazy żył,
Skarby swej duszy głęboko krył.

Za cnót i zasług jego czar,
Bóg mu największy zesłał dar.
Niepokalana, Lilia bez zmaz,
Jej cudne Dziecię.
Skarbem się stały jemu na świecie,
Na długi życia czas.

Dla nich to święcił dzień i noc,
Swe dole i niedole.
Choć troski, bólu przeżył moc,
Straty, wygnania,
Bolesne łkania,
Bez wahań pełnił Boską wolę.
On to Jezusa w ręce brał,
Choć wiedział, że to Bóg!
Synem Go swoim słodko zwał,
Topiąc swe oczy
W Jego źrenicach tak uroczych,
Pieścił, tulił jako mógł.

Jezus, choć niebios był Dziedzicem,
Józefa swoim zwał rodzicem.
Kochał Go, czcił.
Jak żadne dziecię.
Jemu posłuszny zawsze był,
Dopóki Józef żył na świecie.

A kiedy nadszedł śmierci czas,
W ostatniej życia chwili,
Jezus z Najświętszą Matką wraz
Swą głowę nad nim chylił.
Odjął śmierci lęk, gorycze,
Wzamian Józefa serce dziewicze·
Żarem miłości napełnił swej
I tak wyprawił z ziemi tej,
Posłał go tam,
Gdzie po katuszach przyjść miał
Sam.

S. S.



Św. Franciszka Rzymianka III Zak. Seraf.

(9 marca)

Wielcy papieże ostatnich czasów nietylko otaczali szczególną opieką zakony franciszkańskie, ale nadto polecali gorąco, by Trzeci Zakon zakładano we wszystkich diecezjach i parafiach. Instytucja ta, nie wyłączająca żadnego stanu i położenia, zaspakaja — według słów Ojca św. Piusa X — pragnienia doskonałości chrześcijańskiej tych wszystkich, którzy nie mogąc zamknąć się w klasztorze, zamierzają przy spełnianiu osobistych obowiązków, dążyć do nieba pod sztandarem św. O. Franciszka — i przynosić dla całego społeczeństwa błogie skutki odrodzenia. To też Pius X nie wahał się twierdzić, że gdyby św. O. Franciszek nic innego nie był uczynił prócz założenia Trzeciego Zakonu, już to samo uczyniłoby go największym dobroczyńcą ludzkości.

Żeby jednak III Zakon mógł spełnić swe wzniosłe zadanie, musi każdy jego członek starać się żyć tak, jak reguła tercjarska przepisuje, wzorując się na przykładach Świętych, którzy żyjąc w świecie doszli do wysokiej doskonałości.

Jedną z takich postaci, która może służyć za wzór dla każdej Tercjarki jest św. Franciszka Rzymianka, słynna we Włoszech z wysokiej świątobliwości w początkach XV wieku, kiedy to prawie wszyscy gorliwi katolicy tego kraju należeli do III Zakonu.

Ojciec Franciszki Paweł de Buxis i matka Jakobina Refredeschi pochodzili z najznakomitszych i z najbogatszych rodzin, więc dostatkiem, wszelką wygodą a nawet przepychem otoczyli młode dziewczę. Ale Franciszka od lat dziecinnych nie lgnęła do bogactw, lecz szczególne zamiłowanie okazywała do modlitwy, umartwień i uczynków miłosiernych.

Mając lat jedynaście postanowiła wstąpić do kla-

sztoru, ale rodzice stanowczo oparli się temu i gdy podrosła musiała spełniając ich wolę — poślubić bogatego, zacnego rodu młodzieńca Lorenza Pontiani.

Jakkolwiek Franciszka zawarła ten związek wbrew pragnieniom serca, nie porzuciła myśli udoskonalenia się i postanowiła dążyć do świętości w warunkach, w jakich się mimo swej woli znalazła.

Gorące pragnienie uświęcenia się, z czystej miłości Bożej płynące, sprawiło, że obowiązki żony i matki jaknajsumienniej zawsze spełniała. Domowników zajętych różnymi pracami w obszernym pałacu, otaczała jaknajtroskliwszą opieką: odmawiała wspólnie z nimi poranne i wieczorne modlitwy, w dni świąteczne uczyła ich katechizmu a w chorobie doglądała każdego jak najczulsza matka.

Chociaż była młoda, piękna i bogata, wyrzekła się wszelkich rozrywek światowych a czas przez to uzyskany obracała na wychowanie dzieci, zarządzanie domem i na pełnienie uczynków miłosiernych.

Ofiarność Franciszki dla biednych nie miała granic — była gotowa oddać wszystko ubogim, nie oglądając się na to, czy na utrzymanie własnego domu starczy.

Pan Bóg niejednokrotnie cudem okazał, jak miłem Mu było miłosierdzie Franciszki.

Raz w czasie wielkiej drożyzny, mąż Franciszki, obawiając się, że cnotliwa małżonka zbyt hojną będzie w jałmużnach zabrał klucze od spichlerza i sprzedał cały zapas zboża. Zbólem serca i ze łzami w oczach patrzyła Franciszka na pusty spichlerz, a spodziewając się jeszcze coś znaleść w pozostałej słomie, na kolanach zgarniała resztki zboża. Po tej mozolnej pracy, w której pomagała jej cnotliwa przyjaciółka, znalazł się jeszcze korzec ziarna, które natychmiast ubodzy. Gdy wkrótce potem Lorenzo Pontiani wszed

do śpichlerza zobaczył ze zdumieniem jeszcze większy zapas zboża, jak ten, który sprzedał.

Podobny cud powtórzył się z winem, które Franciszka rozdała ubogim chorym.

Wielki szacunek, jaki miał Lorenzo dla swej małżonki zamienił się wskutek tych nadzwyczajnych wydarzeń w głęboką cześć, złączoną z pewnym lękiem religijnym, który sprawił, że zostawił jej odtąd zupełną swobodę działania według natchnień Bożych.

Chwile wolne od obowiązkowych zajęć poświęcała Franciszka modlitwie. Z największą gorącością ducha i z głębokim skupieniem odmawiała pacierze tercjarskie, ale dla pociechy, jakiej doznawała w ćwiczeniach duchownych, nie zaniedbała nigdy obowiązków matki i żony.

Gotowa na każde skinienie męża, ciągle wytężała uwagę, czem mogłaby mu sprawić przyjemność.

Jednego dnia, gdy zaczęła mówić Oficium o Matce Najświętszej, mąż zawezwał ją do siebie. Powstała natychmiast, by spełnić jego żądanie, poczem uklękła znowu do modlitwy.

Zaledwie się przeżegnała, mąż zawołał ją powtórnie, żądając jakiejś błahej usługi. I tak cztery razy przerywała zaczętą modlitwę na wezwanie męża, a zawsze bez cienia niezadowolenia, lub niecierpliwości.

Gdy po raz czwarty wróciła do modlitwy, zobaczyła złotymi literami napisaną antyfonę, którą dla posłuszeństwa mężowi — przerywała. Te złote litery pozostały w książce Franciszki aż do jej śmierci.

W roku 1409 hrabia Władysław Durazzo wspierany przez nieprzyjaciół papieża zajął zdradą Rzym, a opuszczając miasto, zostawił w swym zastępstwie hrabiego Piotra Traję, który ciągle szukał sposobności prześladowania rzymskich obywateli wiernych Kościołowi św.

W jednej potyczce wojsk papieskich z żołnierzami hr. Traji został Lorenzo Pontiani ugodzony śmiertelnie sztyletem i przyniesiono go martwego do pałacu. Łaską Bożą wsparta, opanowała Franciszka straszny ból, jaki przeniknął całą jej istotę, przebaczyła natychmiast mordercy i powtórzyła słowa Joba: „Pan dał, Pan wziął, niech Imię Pańskie będzie błogosławione". Gdy jednak baczniej spojrzała na twarz męża, dostrzegła w niej słabe ślady życia. Natychmiast więc kazała wezwać kapłana i lekarza a nachylając się nad umierającym poddawała mu akty przygotowujące do ostatniej podróży.

Ciche poddanie się woli Bożej i czuła troskliwość w pielęgnowaniu męża zostały rychło nagrodzone. Lorenzo powrócił do zdrowia.

Wkrótce potem hrabia Traja uwięził brata męża Franciszki Paluzza a dziewięcioletniego jej synka zażądał na zakładnika, przysięgając, że w razie odmowy pozbawi życia uwięzionego.

Był to najboleśniejszy cios, jaki ugodził serce nieszczęśliwej matki. Na razie chciała ukryć ukochane dziecko, ale spowiednik jej — z natchnienia Bożego — rozkazał, by oddała dziecko okrutnemu najezdcy a potem, by się schroniła do kościoła Ara Coeli.

Wieść o tym zdarzeniu lotem błyskawicy rozeszła się po Rzymie. Tłumy ludu, płacząc rzewnie zachodziły drogę Franciszce, błagając, by nie oddawała dziecka na pastwę wroga.

Lecz mężna niewiasta, upatrując w rozkazie spowiednika wolę Bożą, zaprowadziła biedne dziecko do kapitolu, gdzie czekał już na nie hrabia Traja a sama pobiegła do kościoła, i gorzko płakała u stóp Matki Miłosierdzia.

Tymczasem Traja kazał jednemu z rycerzy wziąć małego zakładnika na konia i odstawić do wskazanego

miejsca. Ale gdy dziecko umieszczono na siodle, koń nie chciał ruszyć z miejsca. Smagano go biczem, kaleczono ostrogami, usiłowano z pomocą czterech silnych rycerzy zmusić go do jazdy — trud daremny! koń stał nieruchomo, jak posąg. Przyprowadzono kolejno cztery konie i z każdym powtórzyła się ta sama historia.

Przerażony tym widocznym cudem Traja, kazał dziecko odesłać matce. Franciszka klęczała jeszcze u stóp ołtarza, gdy ocalony synek rzucił się w jej objęcia.

W roku 1413 w czasie zaburzeń wojennych zrabowano pałac Franciszki, wielkie majętności jej i męża skonfiskowano a sam Pontiani wraz z synem skazany został na wygnanie. I te krzyże zniosła mężna niewiasta z heroicznym poddaniem się rozporządzeniom Opatrzności. Gdy w kraju nastał wreszcie pokój — wrócił mąż z synem z wygnania i wszedł na nowo w posiadanie dawnych majętności.

Odtąd z większą jeszcze gorliwością oddawała się Franciszka ćwiczeniom pobożnym i ostrej pokucie. Założyła w tym czasie klasztor Oblatek, do którego sama po śmierci męża wstąpiła.

Chociaż była założycielką i fundatorką klasztoru uprosiła sobie, by ją używano do najniższych posług. I nieraz widywano ją na ulicach Rzymu niosącą na plecach drzewo lub jarzyny zebrane dla zakonnic. Później zniewolona posłuszeństwem została przełożoną, ale w pokorze żadnej z sióstr nie dała się wyprzedzić.

Jedną z nadzwyczajnych łask, jakimi P. Bóg ją darzył była ta, że przez długie lata widywała swego Anioła Stróża, który się jej ukazywał w postaci ślicznego pacholęcia odzianego w białe szaty, ze skrzydłami u ramion, jaśniejącego nadziemskim blaskiem. Widzenie to omijało ją, gdy popełniła jaką niedoskonałość;

zaledwie jednak wzbudziła akt skruchy, Anioł Stróż ukazywał się jej na nowo.

Mając lat 56 rozchorowała się ciężko i po krótkich lecz gwałtownych cierpieniach z radością zakończyła ziemską pielgrzymkę 9 marca 1440 r.

Dla cnót heroicznych i licznych cudów, jakimi słynęła za życia i po śmierci została policzona w poczet Świętych przez Ojca św. Pawła V. Uroczystości kanonizacyjne odbyły się w roku 1608. *Es-ha*

Przed Ukrzyżowanym.

Już, już!... Dusza odwraca się od topieli zmysłowych, od przepaści, od błotnistych dróg, a idzie ku łanom liliowym. Och, jaka szczęśliwa, iż nie ugrzęzła w zdradnym bagnie!...

Ciężkie, czarne chmury rozsuwają się przed nią — idzie...

Prowadzi ją Maria.

Matka najczulsza z matek!

Kto Jej się oddaje na własność, a Jezusowi na całopalenie, ten unosi skarb swój nietknięty, lilię nieskalaną. Tego duszny niepokój nie będzie dusił ani za życia ani przy śmierci.

Nigdy nie jest zawcześnie poświęcić się Maryi, jeżeli kto chce uchronić się przed zgnilizną. Ani też nigdy nie jest zapóźno paść w proch do Jej matczynych stóp, gdy się już zgubiło skarb cnoty, połamało kwiaty. Ona nie odepchnie, zaradzi nieszczęściu, pocieszy.

Kto czysty, nie splami się, przy boku Niebieskiej Matki, a kto brudny, oczyści się pod Jej płaszczem Niepokalanym.

Ona – Maria, pierwsza utorowała ścieżki na bezkresne liliowe pola, gdzie dusze całą piersią wdychają niebiańskie powietrze...

— — — — — — — — — — — — —

Idą...

Po drodze krótki przystanek u stóp Ukrzyżowanego. Nie zaszkodzi. Oj nie! I nam by się to przydało. Stanąć pod krzyżem, podumać... Dusza patrzy w zapamiętaniu — Maria wskazuje na swego Syna, na Jego Rany, wstyd i ból.



— Patrz! oto grzech, zbrodnia, pycha, nieczystość i wszelka podłość! Oto Jezus umęczony, na strzępy podarty za winy ludzkości. A nie masz w Nim krasy, ani piękności...

Dusza patrzy, nadsłuchuje bacznie.

Od krzyża jakaś zorza ku niej idzie. Są to błyski Boże, tajne poruszenia wewnętrzne, co kajać się każą za grzechy i rwać się chyżo ku pokucie...

A obok krzyża przechodzą ludzie o sercach z kamienia. Nie wzrusza ich męka Boga. Mimochodem spojrzą na rany, ale nie czują jak bolą. A te rozdarcia biczmi i gwoźdźmi są niczym w porównaniu do rany Serca zranionego niewdzięcznością ludzką. W tę przepaść wewnętrznych cierpień Jezusa, mniej jeszcze wczuwają się ludzie.

Przechodzą obok krzyża...

Jednych jątszy i gorszy męka Zbawiciela. Jawnie rzucają Mu pod nogi słowa przekleństwa, bluźnierstwa, wzgardy i idą dalej po drogach zatracenia. Nie są to tylko żydy, faryzeusze, pogany, ale gorsze od nich dzisiejsze bolszewiki, komunisty, masony. Idą, idą! A kędy się zjawią, to zaraz huki, dymy, pożary, ludzkie krzyki, łzy, krew!...

Przechodzą inni i milczą ponuro, bo w sercach ich ukrzyżowanie powtarza się dzień po dniu, godzina po godzinie. Choć przygniatają ich piorunujące wyrzuty sumienia, choć Jezus w ich duszach jęczy, oni kują nadal gwoździe grzechów, by wbijać je w rozdarte już dłonie i stopy Boże. Ostrzą lancę niewdzięczności, by przebijać nią po niezliczone razy najczulsze, najmiłosierniejsze Jego Serce. A to Serce nie przeklina, nie odpycha, jeno jak morze wylewa dobrodziejstwami.

Obok krzyża przechodzą ludzie..!

Idą dusze podobne do gór lodowych, co pływają po morzu świata, a nie topią się od gorejącego słońca łask. Od żłóbka, od krzyża, od białej Hostii taki wionie żar, a one nie topnieją. W przyjemnościach, w wygodach życia skrzepły już dawno, dawno! A dziś co? Obojętność religijna przy odmawianiu długich pacierzy; niewierności, grzechy powszednie przy wielkiej gorliwości i pilnym baczeniu, by inni nic przeciwnego cnocie nie czynili; ciągły opór łasce, natchnieniom wewnętrznym, który chodzi w parze z najwznioślejszymi pragnieniami — oto co takie dusze rzucają Jezusowi pod nogi. A przy tej lodowej ciepłocie serca mienią się pobożnymi. Jezus zaś daremnie oczekuje od nich iskierki prawdziwej, czystej miłości...

O Boskie pożary, stopcie nasze lody!

Przechodzą ludzie... Zatrzymują się podle krzyża i bluźnią, złorzeczą Ukrzyżowanemu. „*A mimo przecho-*

dzący bluźnili Go, kiwając głowami swymi, mówiąc: Ach, który rozwalasz kościół i we trzech dniach znowu budujesz, wybaw siebie samego z krzyża.

Także też i najwyżsi kapłani szydząc jeden do drugiego z doktorami mówili: Innych zachował, a samego siebie zachować nie może". (Mar. XV, 29-31.).

„*Nie może*". Ach, jak to Jezusa bolało, bo On mógł, wszak Bogiem jak jest tak i był, jeno nie chciał, iż z miłości ku nam na krzyż się ofiarował.

I dziś bezbożnicy, rabusie, bandyty tratujący buciskami po bieluchnych Hostiach, bo im na nic nie są potrzebne, powiadają, że Jezus nie może ani uciec przed nimi ani ich ukarać. A On może, tylko nie chce, bo dobry, bo i tego zbrodniarza chciałby przygarnąć do Serca swojego i zlać nań tyle łaski, by z naczynia nieprawości, stało się naczynie wybrane. O jaki Jezus dobry!

„*Toż i łotrowie, którzy byli z Nim ukrzyżowani, urągali mu*". (Mat. XXVII, 44).

„*Naigrawali go też i żołnierze przychodząc, a ocet mu podając i mówiąc: jeśliś ty jest król żydowski, wybawże się sam*" (Łuk. XXIII. 36-37).

„A Jezus mówił: *Ojcze, odpuść im, bo nie wiedzą co czynią*" (Łuk. XXIII, 34).

Posłyszał to dziwne, niepojęte wołanie łotr i zalał się łzami.

— *Panie, pomnij na mnie, gdy przyjdziesz do królestwa Twego!*

Mówił cicho, nieśmiało, bo łotrem był, bo bluźnił Mu jeszcze przed minutą. Ale Jezus posłyszał.

Zaprawdę powiadam ci, dziś ze mną będziesz w raju.

Jakiżeś Ty dobry, o Jezu, jaki miłosierny! Jedną iskrą żalu można Cię ubłagać za największe zbrodnie. Ufam Ci!...

Za łotrem kalwaryjskim idzie łotrów tysiące, miliony. I ja w ich gromadzie... Może i ty?...

Jak snopy kładą się dusze skruszone pod stopy Ukrzyżowanego Boga. Topią się lody grzechowe w promieniach Jego dobroci. Płyną prośby i wołania.

— Panie, pomnij na mnie!...

— Jezu, i na mnie! Ześlij jakie chcesz cierpienie, jeno daruj!...

Oj tak! Jezus daruje, przebacza. Nie odmawia rozgrzeszenia największym zbrodniarzom, gdy o nie proszą. Proś i ty przy szczerej, wielkanocnej spowiedzi, a gdy otrzymasz rozgrzeszenie, to nie grzesz już więcej. Na nic żal, pokuta, gdy nie dołączy się i poprawa.

— — — — — — — — — — — — —

— *Pragnę!...*

— Czego pragniesz o Jezu?

— Miłości za miłość! Oddania za oddanie. Cierpienia za cierpienie. Śmierci za śmierć! Ale nie tej śmierci fizycznej, na którą godzina przyjść musi, jeno mistycznej. Umrzyj grzechowi, światu, sobie!

Pragnę!...

Na to jedno słowo Jezusa, porywają się dusze. Ale nie te bluźniercze, skamieniałe — nie te o lodowej temperaturze serca. Porywają się dusze wybrane. Dusze niewinne i dusze świeżo dobyte z przepaści... Porywają się, szaleją! Grzesznicy i niegrzesznicy rozbiegają się po drogach niebieskich, co przed nimi się ścielą. A te drogi ciernistе aż do samych bram wieczności...

Rozbiegają się dusze...

Zatrzymują się w dzikich, samotnych puszczach, w klasztorach, we wilgotnych pieczarach. Tak czynią pokutę, wylewając łzy. Jedni z żalu, boleści, co targa poranioną grzechami duszą, inni z miłości. A ci i tamci są bardzo szczęśliwi, bo z topieli grzechów i światowych złud, rzucili się w głębszą jeszcze topiel miłości Bożej. Na jej falach płyną do oceanu wieczności. Stają przed Bogiem jako święci, niepokalani. I jako ci, co

„omyli szaty swoje i wybielili w Krwi barankowej" (Obj. VII, 14).

Oto są dusze, co oddały miłość za miłość, oddanie za oddanie, cierpienie za cierpienie, śmierć za śmierć! A nie brak ich i dzisiaj — żyją między nami. Nie otaczają ich bory, dzikie zwierzęta, samotność Tebajdy, jeno ludzie, czasem i często mniej łaskawi niż zwierzęta...

Ale tak być musi. „*Jeśli mnie prześladowali, wiedzcie, że i was prześladować będą. Ale nie lękajcie się, jam zwyciężył świat*".

— — — — — — — — — — — — —

Przebudziła się dusza z głębokiej zadumy.

Przecierając olśnione oczy, rozgląda się wkoło... Krzyż jak stał tak stoi na rozdrożu, a przed nim ona sama. Samiuteneńka! A stać tu nie będzie, bo to jeszcze nie zachwyt w krainie wieczności. Przed nią ziemia, góry, doliny, po których przejść musi. Całuje zranione stopy Jezusa, na których widzi ślady swych grzechów i idzie dalej.

— Dokąd?

— Gdzie życie błogie, bezkresne! *St. Gł.*

Smutna jest dusza moja...

Wieczór był głuchy i samotny. Ciemność zapanowała wszechwładnie. Całe piękno okolicy znikło, a przed oczami snują się tylko szare widziadła gmachów miejskich. Ciężka opona chmur rozwisła tuż ponad dachami. Każdy szelest rozpływa się w wilgotnej atmosferze, głuchnie i zapada w przepaść niezgłębionej ciszy. Przestwór nieba objęła bolesna, bezgwiezdna ciemność. Z oddali z dwóch okien do oka wpadają migotliwe błyski światełek. W tem jedno gaśnie. Gmach pustoszeje.

Za chwilę daje się słyszeć szmer i szelest — a jeszcze dłużej — ciemne sylwetki ludzkie poruszają się w kierunku za miasto. Jedna postać na przodzie, a jedenaście innych podąża za nią. To Chrystus i Apostołowie. Opuścili przed chwilą wieczernik. Teraz w milczeniu podążają wszyscy za Mistrzem. Na twarzach maluje się niepokój. W uszach jeszcze brzmią ostatnie słowa Chrystusa z wieczernika, natomiast w sercu jakoś głucho, tęskno i niespokojnie. Samotność niewypowiedziana dziwnie nastraja, wydobywa najgłębsze i najtajniejsze tony, wszystkich przepełnia lękiem.

Chrystus na przodzie stroskany bardziej od innych. Idzie zasłuchany w rapsodię, jaką Mu grały proroctwa o przyszłej męce. Dźwięki te były straszne, każące wychylić kielich goryczy aż do dna, domagające się położenia życia za innych. Dzikie akordy, jak żelazne serca dzwonów uderzały w czaszkę Chrystusa niemiłosiernie i bezlitośnie rwące pokój w strzępy. Każdy ton rani nogi ryjące się w piasku, naprężał muskuły jak szklane liny i krew ścinał w żyłach. A Jezus podąża w ciszy naprzód. Tylko ciemności pochłaniające niewdzięczne miasto wraz ze strumykiem Cedron żalą się litośnie rozdzierającym jękiem:

Mój Boże, mój Boże, mój Boże!...

Orszak przybywa do kresu. U wrót Getsemani, krótka chwila pożegnania i Zbawiciel wraz z trzema wybrańcami posuwa się dalej w głąb ogrodu. Wreszcie i tych trzech musi zostawić. Chwila rozdzierająca. Słowami: smutna jest dusza moja aż do śmierci, czekajcie tu i czuwajcie ze Mną żegna i tych najukochańszych, a Sam odszedłszy kawałek rzuca się na kolana i zatapia w głębokiej modlitwie.

Wszystko pogrążone we śnie, tylko Jezus Sam, może nawet Sam w całej Galilei — czuwa. Kaja się w prochu jako robak a nie człowiek. Serce Jego za-

czyna dręczyć strach, smutek i tęsknota. „Począł się strachać, smucić i tęsknić sobie". Teraz nadeszła chwila przez świat wyczekiwana — dopełnienie Odkupienia: Oto ten Chrystus — niegdyś jaśniejący nadziemską chwałą na górze Tabor, porywający całą Palestynę czarem Swej nauki — teraz okurzony, zgnębiony, złamany i opuszczony przez wszystkich, tarza się po ziemi przywalony ogromem cierpień. Boskie Jego oczy przeniknęły całą przeszłość ludzkości. Stanęły w jednej chwili przed Chrystusem wszystkie grzechy ludzkości. Począwszy od grzechu pierworodnego Adama i Ewy przez morderstwo Kaina, rozwydrzenie ludzkości przed potopem, straszną Sodomę, bałwochwalstwo narodu wybranego, niewdzięczne mordowanie proroków i t. d. i t. d.

Te wszystkie występki za swą ohydę i zniewagę Bogu wyrządzoną, żądały wynagrodzenia. Jak dzikie bestie rzuciły się na Chrystusa szarpiąc Go spienionymi paszczęki. A Jezus najniewinniejszy ze synów ludzkich, co wobec czyhających na Jego życie faryzeuszów śmiało wołał: kto z was dowiedzie na mnie grzechu — teraz musi przeżywać całą okropność występku. Boleść Jego potęguje opuszczenie przez wszystkich. Z nikąd pomocy nie ma. Ludzie w swych cierpieniach zawsze mają jakąś pociechę, a Jezus żadnej! Świat milczy!!! Apostołowie śpią!!!

Wtem podnosi się z ziemi, oczy zwraca ku niebu, mdlejące ręce wyciąga ku górze, a spieczonymi wargi szepcze: Ojcze, jeżeli można niech odejdzie ode mnie ten kielich, wszak nie moja, ale Twoja wola niech się stanie.

Słowa giną bez echa. Ojciec Niebieski — milczy. Wstaje Jezus i idzie do Apostołów po otuchę. Lecz o boleści, „zastał je śpiące". Nowy grot przeszywa Boskie Serce. Znosi jednak to Chrystus cierpliwie, budzi Apostołów, zachęca do czuwania, a Sam znowu oddala się na modlitwę.

„Teraz opanowuje Go wielki wstręt do cierpień, jakie były dlań zgotowane. W takich chwilach nawet przyjemność staje się ciężarem. Jakiż ucisk i złączoną z nim odrazę musiał sprawić P. Jezusowi cały ten przerażający obraz, który wtedy stanął przed oczami Jego ducha — obraz wszystkich cierpień zewnętrznych i wewnętrznych, jakie przez resztę życia miały okrutnie dręczyć Jego ciało i błogosławioną duszę“... Widzi Jezus odrażającą postać Judasza z chciwym uśmiechem na widok srebrników, niesprawiedliwy wyrok śmierci, szyderstwa gawiedzi, opuszczenie przez Apostołów, zaparcie się św. Piotra, biczowanie, cierniem koronowanie, drogę krzyżową, odarcie z szat, głuche uderzenie młotów... To wszystko tak gorzkie Jezusowi uczucia sprawiło, że musiał zwrócić się do Ojca Przedwiecznego z prośbą o pomoc: Ojcze mój, jeśli można niechaj odejdzie ten kielich odemnie!

I cóż?! Głuche milczenie odpowiada. Ojciec zdaje się nie słyszeć głosu Syna. Ustaje Zbawiciel i skierowuje chwiejne kroki ku Apostołom. Ale niestety! „Znowu zastał je śpiące!“ Przygnębiony do reszty tym widokiem, odchodzi z bólem nie budząc Apostołów i pada na twarz poraz trzeci. „Padł na oblicze, ponieważ widział obowiązek zadośćuczynienia za wszystkie grzechy świata, jakby się wstydził podnieść oczy do nieba. Upokorzony więc modlił się leżąc na ziemi. Lecz teraz nadeszła najcięższa chwila z Jego całej męki w Ogrojcu. Oto przed oczami Chrystusa staje bezskuteczność Jego męki!!! Widzi miliony dusz narodu wybranego, a teraz przeklętego, ich straszne zaślepienie i pychę, kiedy to pójdą znienawidzeni żydzi za wysoką dość opłatą pod mury zburzonej świątyni i tam będą płakać i lamentować a nawet głowami bić o ziemię i martwe głazy, narzekając na własną niedolę, lecz do przybytku Chrystusa nie zajrzą, nie upadną do stóp krzyża i nie poproszą o prze-

baczenię. I pójdą na potępienie z własnej woli całe pokolenia, wzgardziwszy owocami męki Chrystusa Pana. Ale nie tylko żydów widział Jezus. On widział wszystkich potępieńców depczących łaskę Odkupienia. Na ten widok tak strasznie się zmartwił, a cierpienie moralne doszło do tego stopnia napięcia, że sprawiło rozstrój fizyczny. Żyły się rozstąpiły, a pot Jego stał się jako krople krwi. W takim stanie człowiek zwykły więcej przenieść nie może, lecz Chrystusa moc Boża wspierała zachowując na większe cierpienia. Tymczasem Jezus prawie umierający poraz trzeci zanosi błagalną modlitwę: „Ojcze, jeśli chcesz, przenieś ode mnie ten kielich, a wszakże nie moja wola, ale Twoja niech się stanie".

Wreszcie przemówiło niebo. Anioł Pański zstąpił, by pocieszyć i umocnić Jezusa, ponieważ potępienie milionów dusz takim Go bólem i wstrętem do cierpień napełniło. Ale jakaż to była pociecha! Anioł posilił Chrystusa, by tem więcej cierpiał z miłości ku ludziom i dla chwały Ojca Niebieskiego.

Taka była bolesna próba mająca za widownię Ogród Oliwny. Wyróżnić w niej możemy trzy stadia, trzy coraz to głębsze otchłanie, do których Jezus schodził stopniowo, aż pokąd pot krwawy i przyjście anioła nie zaświadczyły, że zgruntował je do dna. Jest to zewnętrzna tylko strona doświadczenia, bo któż zdoła odgadnąć, te wszystkie myśli, pod którymi Jezus upada, te widzenia teraźniejszości i przyszłości, te uczucia, które dręczyły to Jego serce. Jednak Jezus pozostał na zawsze wzorem ludzkości. Mimo najstraszniejszych katuszy moralnych, jakich żadne serce ludzkie znieść nie zdoła, gdyż cierpienia przez ludzi znoszone są złączone z jakąś pociechą, a cierpienia Jezusa były bez żadnej pociechy. — Chrystus wołał po trzykroć: Niech się stanie wola Twoja.

Co za doskonały wzór do naśladowania.

T. A. Żynel.

Rady O. Kapistrana

Dla odprawiających rekolecje.

Moje zacne tercjarki? Czy chcecie być święte?
— To sobie rekolekcje odprawcie zamknięte,
A choćby półzamknięte lub zgoła otwarte
Zawszeć to zbożne dzieło zachodu jest warte.
Ja, wasz stary przyjaciel, na tę dobrą drogę
Z własnego doświadczenia poradzę jak mogę.
1. Rozmawiaj często z Bogiem w domu i w kościele,
Ale z ludźmi mów ile możności niewiele.
2. Pamiętaj też, że nakaz aby być skupioną
Nie znaczy być pochmurną, mrukliwą, skwaszoną.
3. Z okazji rekolekcji nie spychaj na drugich
Swej pracy — owszem sama świadcz wokół usługi.
4. Kiedy z ust kaznodziei poczną padać gromy,
To stosuj je do siebie, nie do swych znajomych.
5. Gdy masz różne skrupuły, wątpliwości, żale,
Nie chodź tam gdzie są tłumy przy konfesjonale,
(W tym zdaniu bardzo ważna przestroga się mieści
Zwłaszcza dla dusz pobożnych pośród płci niewieściej)
Bo jeden pół godziny czasu zbałamuci,
Drugi się nie doczeka i więcej nie wróci.
6. Przy spowiedzi nie szukaj koniecznie pociechy.
Czy to mało, że Pan Bóg odpuścił ci grzechy.
7. Wreszcze postanowienia zrób sobie nieliczne,
Ale zato niech będą wyraźne, praktyczne:
Módl się, przebaczaj, pracuj i dawaj jałmużnę,
A nie przelewaj tylko wciąż z pustego w próżne.

. . . .

No i gdy rekolekcje skończysz w piątek rano,
Niechaj choć do soboty ślady z nich zostaną. *E.*



Nie obrzydzajmy pobożności naszym dzieciom.

Pani Tomaszowa jest bardzo pobożna — ogromnie! I pragnie w takiejże pobożności wychować swe dzieci, lecz jej się to jakoś nie udaje — owszem, raczej idzie naopak.

Dzieci uciekają przed pacierzem, jak pies przed muchami.

Dlaczego?...

Popatrzmy!

Wieczór — pani Tomaszowa zwołuje dzieci przed obraz Matki Boskiej na wspólny pacierz. Dwie młodsze córeczki klęczą na przodzie — Antoś za nimi przy matce — urwis-chłopaczysko musi go mieć na oku.

Matka zaczyna pacierz: Ojcze nasz, Zdrowaś, Wierzę, Dziesięcioro, 6 prawd wiary, rzeczy ostateczne, siedem grzechów głównych, 9 grzechów cudzych.. przy grzechach przeciw Duchowi św. Antkowi już ścierpły kolana i przysiadł sobie na piętach, ale wnet matka krzepkim szturchnięciem przyprowadziła go do porządku.

Teraz zaczyna się litania do Matki Boskiej — dziewczynki wiercą się niespokojnie, ziewają raz za razem i wpół przytomnie mruczą „m“ się za nami“. Antek dla urozmaicenia sobie monotonnej modlitwy wyciągnął skądś słomkę i wodzi po szyi siostry — ta nie oglądając się wyciągnęła rękę i powolnym rozespanym ruchem drapie się po karczku.

Psotnik przeniósł się ze słomką na szyję drugiej siostry, ale czujne oko matki dostrzegło nadużycie —

Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata... bije się jedną ręką w piersi, a drugą pociąga surowo za ucho niepoczciwego urwisa.

Pod Twoją obronę.

Ach! kiedyż będzie koniec — snuje się uparcie po głowach dzieci —

— Kto się w opiekę... jeszcze zaczyna pobożna mama... długie bez końca niezrozumiałe dwuwiersze wysnuwają się powoli... powoli... nareszcie — Amen. Jeszcze jakieś akciki odpustowe, nowenny i koniec.

Dzieci z westchnieniem ulgi wstają z klęczek, pocierając odgniecione kolana —

Mamo, poco my mówimy razem pacierz, kiedy inne dzieci mówią same osobno.

— Mężczyźni to nie mówią takich długich pacierzów, zauważa sentencjonalnie Antek — Jak ja dorosnę też nie będę —

Antoś! wykrzyknęła oburzona matka. Coś ty powiedział — że pacierza mówić nie będziesz! Na bezbożnika wyrośniesz —

— Wcale nie na bezbożnika, tylko...

— Dosyć! Ani słowa! Masz tu różaniec i za karę masz zaraz zmówić głośno dziesięć Zdrowaś Maria —

Matka jest ogromnie rozgniewana a Antek wie z doświadczenia, że wtedy jest niebezpiecznie nie słuchać — Z niechęcią bierze różaniec i klęknąwszy niedbale klepie galopem Zdrowaśki przekręcając i połykając wyrazy. —

O pani Tomaszowa! Nie tędy prowadzi droga do zaszczepienia w serduszkach dzieci cnoty pobożności — nie tędy!

Modlitwa nie powinna, nie może być dla dzieci ciężarem — a zwłaszcza na miłość Boską! nigdy nie powinna być karą!

Modlitwa to obcowanie z Bogiem — trzeba, żeby dzieci tęskniły — pragnęły tej rozmowy z Bogiem — żeby ją sobie ceniły — w tym jest korzeń dziecięcej pobożności.

Jeśli więc wprowadziłaś w swym domu ten prześliczny, arcychrześcijański zwyczaj wspólnej modlitwy rano i wieczorem — to niech ten pacierz będzie prze-

de wszystkim krótki. Niech ci nie chodzi o ilość lecz o jakość. Dziecko nie może trwać długo skupione — a Bogu nie potrzeba dużo słów. — Swoje nabożeństwa — swoje troski duchowne — swoje modły odpraw osobno — z dziećmi wystarczy Ojcze nasz, Zdrowaś i Wierzę. Zamiast tych wszystkich wiadomości katechizmowych i innych „kutasów" nie będących wcale modlitwą, a przyczepianych nie wiedzieć po co do pacierza, przyuczaj swe dzieci do króciutkiego rachunku sumienia przy wieczornej modlitwie np. tymi słowy: Teraz zastanówmy się, czyśmy dzisiaj czymś Boga nie obrazili i przeprośmy Go za nasze winy.

Po małej chwileczce zastanowienia można zakończyć znanym wezwaniem: Boże, bądź miłościw mnie grzesznej! albo znów dla odmiany jakim innym krótkim i przystępnym dla dzieci aktem żalu — najlepiej wierszowanym, bo się łatwo chwyci pamięci i potem dzieci same w swych potrzebach duchownych posługiwać się nim będą.[3] Mamy ich wielki wybór w naszych pieśniach kościelnych — Np. ta piękna strofka z Gorzkich Żalów:

„Oby się serce we łzy rozpływało,
Że Cię mój Jezu często obrażało,
Żal mi, ach! żal mi ciężkich moich złości
Dla Twej miłości.

Dzieci (i nie tylko dzieci) lubią rozmaitość. Jest ona bardzo pomocna do utrzymania skupienia — chroni od bezmyślnego klepania pacierzy, od nudy monotonii.

Toteż rano do zwykłego Ojcze nasz, Zdrowaś i Wierzę dobrze jest dodawać coraz to inny akcik czy modlitewkę strzelistą zastosowaną do dnia, do święta, do okresu roku kościelnego — a więc np. w niedziele na cześć Trójcy Przenajświętszej mówić trzy „Chwała Ojcu"..., w piątek „Któryś cierpiał" w sobotę „O Mario bez grzechu poczęta"... W Wielkim Tygodniu „Kłaniamy

Ci się Panie Jezu Chryste"... w czasie wielkanocnym „Królowo nieba wesel się" i t. p.

Dzieciom się to będzie bardzo podobać — same potem będą podsuwały to, co w danym dniu pragną powiedzieć — pacierz nie będzie ciężarem — jarzmem — pańszczyzną odrabianą z musu.

Co odstręcza dzieci od modlitwy? — Znam tylko jeden powód — nudę.

Nuda wiejąca z tych długich pacierzy nie mających żadnego związku z wewnętrznymi przeżyciami dziecka — oto jest największy wróg pobożności dziecięcej.

Od nas starszych można wymagać, abyśmy się modlili mimo oschłości, nudy, roztargnienia, znużenia — dziecko jest absolutnie do tego nie zdolne.

A więc, pani Tomaszowa kochana! Od dziś paciorek krótki a gorący w atmosferze pokoju, słodyczy, namaszczenia — bez poszturchiwań, upomnień i ciągnienia za uszy — Potem rachunek sumienia, akt żalu i Amen. Czy dobrze? *S. L.*

Moja Patronka.

W listopadowy miesiąc, gdy na dworze było zimno i błoto chlupotało pod nogami, udałam się w ważnej sprawie do klasztoru SS. Klarysek. Odprawiono mnie, że obecnie wszystkie siostry są w chórze. Kazano przyjść po nieszporach.

Nie mając gdzie się schronić, weszłam nieśmiało do otwartego kościółka św. Andrzeja. A był to dzień 16, godzina późna, popołudniowa. Nogi moje przechodziły ten próg po raz pierwszy w życiu.

Zdumienie mię ogarnęło, gdy zobaczyłam kościół wewnątrz prawie nabity ludem, a gdzieś pod sklepie-

niem wysoko rozlegał się cieniutki śpiew zakonnic. Przy ołtarzu kapłan-Dominikanin odziany w złocistą kapę, a obok niego asysta też strojna uroczo.

Dziwowałam się. Co to może być? Jaka to uroczystość w taki szary jesienny dzień?

Olśnionymi oczyma wodziłam po ścianach, co odziane były we wzorzyste, czerwono-złote obicia. Dziwiły mię i ołtarze. Zauważyłam, że oprócz wielkiego, był także cudnie ubrany ołtarz po prawej stronie. Płonęły na nim wszystkie świece. Z pośród kwiatów i światła wyglądała postać zakonnicy w czarnym stroju, z aureolą na głowie. Ach, to pewnie dla niej to wszystko. Ale nie wiedziałam, kim ona jest.

Na drugi dzień wiedziałam już o wszystkim i z radością uczestniczyłam w uroczystościach ku czci Bł. Salomei. Z ślicznych kazań dowiedziałam się reszty. Błogie to było poznanie mej ukochanej Patronki. Do Niej uciekałam się odtąd we wszystkich przygodach życia. A od tego czasu minęło już 30 lat.

— — — — — — — — — — — — —

Już dwa lata czciłam i kochałam moją niebieską Patronkę, gdy P. Bóg dopuścił na mnie chorobę. Była to ciężka grypa. Ponieważ pracy miałam wiele, wyrwałam się z łóżka zawcześnie. Pomogła mi do tego młodość. Ale grypa zezłościła się za to na mnie i w pakowała mi się do głowy. Nie byłam teraz wstanie zwalczyć okropnego bólu, więc położyłam się na nowo do łóżka. Leżałam nieruchomie nie mówiąc, nie jedząc. Nie mogłam ust otworzyć. Przez podważone zęby wlewano mi do gardła po kilka kropel płynu. Lekarz skonstatował, że wrzód mam w głowie, w okolicy skroni, i że prawdopodobnie nie obejdzie się bez operacji, a nawet może się to źle skończyć. Słysząc o tym, w te tropy pobiegłam schorzałą myślą do stóp mojej Patronki.

Nie chcę operacji, nie chcę ogłupieć, ani też nie chcę jeszcze umierać, więc proś Ty za mną, o Bł. Salomeo, by Najśw. Serce Boże zlitowało się nade mną!

Rozpoczęłam nowennę. Nie modliły się usta, jeno myśl i serce. I co? Wrzód w głowie pękł, a ropa z niego polała się uchem. Nie słyszałam nic. Najbliżsi poczęli się mną brzydzić.

— Kto wie, co to jest — mówili.

Na ból było mi już lepiej, ale ta ropa zawstydzała mnie przed drugimi. Chciałam się jej pozbyć.

Błogosławiona Salomeo! O „Święta Matko“! zlituj się nade mną! Proś Serce Boże za mną!...

Rozpoczęłam drugą nowennę, a gdy ją skończyłam byłam już zupełnie zdrowa i ropa z ucha nigdy dotąd mi się nie lała.

— — — — — — — — — — — — —

Nie pomnę już, w którym to było roku. Człowiek zaharowany ledwo o wczorajszym dniu coś niecoś pamięta. Ale stało się to, co poniżej opiszę mniej więcej przed 10-ciu laty.

Na nodze utworzył mi się złośliwy, obrzydliwy wrzód. Niema co taić — był to rak! Nie byłam z niego zadowolona, ale co robić, dopust Boski! Udałam się do szpitala. Tam lekarz zoperował mi tę narośl i miało się skończyć dobrze. Tymczasem po zbadaniu zawartości wrzodu orzekli lekarze, że jest źle. Nogę (stopę) trzeba odjąć, bo inaczej życie moje jest w niebezpieczeństwie. Miałam do wyboru — albo odjęcie nogi i to w przeciągu miesiąca, albo zamówić trumnę, pogrzeb i umierać...

Nie długo się namyślałam. Wybrałam śmierć z nogą. Wolałam tak umrzeć, niż żyć bez nogi. To okropne! Ale przyznać się muszę, że na umieranie nie miałam najmniejszej ochoty. Do starości było mi jeszcze daleko. Nie pokazał mi się na głowie ani jeden siwy włos. Szkoda mnie jeszcze do tej świętej ziemi — myślałam.

No ale gdyby wola boska była inna od mojej, to pójdę, tylko z nogą, za nic w świecie bez nogi!

Oj, ciężko człowiekowi, gdy śmierć do oczu zaziera, gdy swoje ciężkie łapy na ramionach kładzie. Żeby to choć tyle jeszcze żyć, by móc duszę ochędożyć i jakoś przyzwoicie stanąć przed Bogiem. Żyć! żyć!

„Święta Matko“ Salomeo!..

Otucha zdjęła mię wielka, że Ona, moja Patronka wyratuje mnie jeszcze od śmierci i nogę też mi ocali. Na tej nodze będę chodzić przed Jej ołtarze, będę zanosić kwiaty, będę dziękować a dziękować!

Pożegnałam lekarzy, co nogę odciąć mi chcieli, a zwróciłam się do SS. Klarysek z prośbą o wino, w którym one zanurzają relikwie, tj. ząbek Bł. M. Salomei. Podczas tej ceremonii siostry na klęczkach się modlą i proszą swojej „Świętej Matki“, by ta cząsteczka Jej kości zostawiła w winie moc leczniczą, cudowną.

Dostałam flaszeczkę wina i rozpoczęłam gorącą nowennę za tę moją nieszczęśliwą nogę. Codziennie, odmawiając modlitwy, skrapiałam bandarze tym cudownym winem. Byłam pewna mojej niebieskiej patronki...

Po ukończeniu nowenny, odwijam nieśmiało nogę. Ręce mi drżały. O Święta Matko!... Patrzę, patrzę, pokazuję innym — czy to prawda, czy mi się zdaje, że noga całkiem zgojona? Tak, to była prawda! Rana na nodze nietylko się zgoiła, ale i chorobliwe zarodki złośliwego raka gdzieś się ulotniły, nie pozostawiając żadnych następstw w organiźmie. Od tego czasu upłynęło już jakie 10 lat, a ja przy pomocy Bożej chodzę, ciężko i dużo pracuję i jestem całkiem zdrowa. Nie tak wprawdzie, by mi nic nigdy nie dolegało, bo człowiek to taka maszyna co wciąż się psuje, ale raka Bł. Salomea wypędziła z nogi i nie pozwoliła mu przerzucić się na inne miejsce. Nie mówię, że to cud, bo tego przed czasem powiedzieć nie wolno ale wierzę i jestem mocno

przekonana, że uzdrowiła mnie bł. Salomea, moja najdroższa Patronka!

— — — — — — — — — — — — —

Za kilka lat po wyzdrowieniu na nogę, poczęło mnie coś dusić w gardle. Dusiło i dusiło, aż strach mnie brał. Udałam się do lekarza. Ten orzekł, że to struma, trzeba zrobić operację. Wahał się jednak, czy odesłać mnie zaraz do szpitala, ponieważ byłam bardzo wycieńczona i anemiczna. Mnie zaś zależało na tym, by poddać się operacji póki mniej boli, a zresztą chciałam się pozbyć choroby i wrócić do obowiązków. Zaraz, zaraz! Wołałam. Na upór niema lekarstwa. Lekarz się zgodził. Ale i inni znajomi ludzie ganili mi to rwanie się pod nóż, gdy moja szyja nie była jeszcze tak pogrubiona jak u niektórych.

Ludzie swoje, a ja też swoje. Nie dbałam na nikogo, tylko poszłam do szpitala zabierając z sobą wino Bł. Salomei, o które poprosiłam SS. Klarysek. Mając wino, czułam się bezpieczna.

W szpitalu znów SS. Szarytki odradzały mi operację. Poco ci to — mówiły. Bo też wyglądałam nie na ciężko chorą, tylko mnie dusiło. Ale i SS. Szarytki mię nie przekonały.

Położyłam się na stole operacyjnym. Obstąpili mnie sami młodzi medycy, czego najwięcej się obawiałam. Miałam wprawdzie list polecający do p. Dr. docenta, sławnego chirurga, ale ten był nieobecny. Co ci praktykanci mi tu porobią — myślałam sobie! Ale właśnie w takiej chwili okaże się moc Boża za przyczyną Bł. Salomei. Jej się poleciłam i byłam możliwie spokojna.

Przy operacji okazało się, że choroba była już zadawniona. Lekarze okazywali zniecierpliwienie i wymawiali dość nieprzyjemne dla mego ucha słowa.

— Zadużo kokainy! — zakrzyknął jeden.

— Nieszkodzi! będzie baba spokojniejsza — odrzekł drugi.

A ja, mając ręce do stołu przywiązane, głowę przywaloną kocami, oddawałam się P. Bogu na życie i śmierć. Do Bł. Salomei myśl moja biegła co chwila, Błagałam — obiecywałam...

Operacja się skończyła. Lekarze odeszli, stał przy mnie tylko asystent i przypatrywał mi się pilnie. On to operował mi nogę. Dlaczego nie zjawił się wcześniej? Widocznie uważał, że takiej baby nie warto operować, niech się na niej nauczą inni. A ja babą wcale nie byłam, ani nie jestem, jeno panną, siostrą III zakonu.

— Skąd pani jest? — zapytałał.

Gdy mu powiedziałam i pokazałam list, zafrasował się trochę i odrzekł:

— Gdybym był wcześniej wiedział, byłbym sam panią operował...

Lepiej, żeś mię ty nie operował, pomyślałam sobie. Teraz gdy wszystko się powiedzie, Bł. Salomei będę to zawdzięczała.

Położyli mnie na łóżku. Przez szereg dni nie jadłam, nie piłam, tylko poza bandarz wlewałam trochę wina i modliłam się. Tak samo wpuszczałam ukradkiem kropelki wina do gardła. Takie cudowne wino nie mogło mi zaszkodzić.

Po kilku dniach zjawiła się wysoka gorączka. Lekarz się przeraził i począł rozrywać bandarze.

— Co się tu stało? Co pani zrobiła?

Przekonał się, że szyja skrapiana tak często winem ślicznie się goiła. Powodem gorączki było co innego, ale i to minęło.

Trudno dokładnie opisywać każdy najmniejszy szczegół. Dość, że 9 czy 10 dnia powróciłam zdrowa do domu. Tak samo wyzdrowiały szybko te chore, z którymi podzieliłam się moim winem. Innym rany ropiały już od wielu tygodni. Nie mogłam wszystkim dać wina. SS. Klaryski nie sądziły, aby to miało star-

czyć dla wielu chorych, więc dały mi tylko małą flaszeczkę.

To wino naprawdę jest cudowne. Ile razy ono mi już pomogło. Ale ile pomaga innym? Pytajcie się o to SS. Klarysek.

— — — — — — — — — — — — —

Drobny szczegół. Przed kilku miesiącami bolała mnie bardzo prawa ręka. Prawa! bez której tak trudno obejść się w życiu. Nie wiem co to było, bo nie radziłam się lakarza. Mieliśmy w domu ogólne, wielkie pranie, a potem prasowanie. Bielizny było dużo. Jak tu prasować taką obolałą ręką? a nasze żelazko to ciężar nielada. O „Święta Matko!" Nauczyłam się tak wołać od SS. Klarysek. Akurat miałam sposobność widzieć się z Matką Ksienią, a ta wręczyła mi flaszeczkę wina Bł. Salomei z prośbą, abym doręczyła pewnej pobożnej rodzinie, bo ktoś tam chorował. O jakże się ucieszyłam tym posłannictwem.

Niosłam wino cudowne do państwa N.N. Nie miałem odwagi poprosić o nie i dla siebie. Po drodze oglądałam flaszeczbę. Nie była mocno zapieczętowana — ot, zwykły korek, aby nie rozlała, nie ulotniła się cudowna woń. Nie uważałam więc sobie za grzech otworzyć flaszeczkę i wlać parę kropelek do rękawa z prośbą, aby mię „Święta Matka uzdrowiła na rękę, bo jutro wielkie prasowanie.

O moja ukochana Patronko! Tyś mię zawsze ratowała...

Wino zaniosłam, ucieszyli się, ale nikt nie poznał że parę kropel brakowało. Na drugi dzień rano wstałam i nie czułam najmniejszego bólu i dotąd ręka mnie nie boli.

Ach, te kropelki wina! Dzięki Ci, „Święta Matko!"

— — — — — — — — — — — — —

Dnia 6 marca SS. Klaryski, w swoim kościółku św. Andrzeja, będą obchodziły doroczną uroczystość ku czci

Bł. M. Salomei na pamiątkę odnalezienia Jej świętych kości. Podobnie jak w listopadzie, będą śpiewać u ołtarzy swej Błogosł. Fundatorki będą urządzać procesje po korytarzach klasztornych z płonącymi świecami w ręku. Z myślą o tej uroczystości opisałam moje niektóre przeżycia i łaski doznane za przyczyną Bł. M. Salomei. Nigdy Jej jeszcze publicznie za nic nie podziękowałam. Czynię to dopiero dzisiaj z tym pragnieniem, aby sprawa Jej kanonizacji rychło posunęła się naprzód. Powiadają, że trzeba jeszcze więcej cudów i pieniędzy. Kanonizacja dużo, dużo kosztuje. Siostry same, a nawet razem z Ojcami Franciszkanami rady nie dadzą. My musimy im pomóc. Polska taka długa, szeroka — Tercjarzy na naszej ziemi tyle, więc dałoby się coś zrobić, gdyby się chciało. O cuda trzeba się tylko modlić z ufnością, a chorych nigdzie nie brak. Datki też nie muszą być wielkie, wystarczy tyle, na ile kogo stać. Gdy każdy coś ofiaruje, to się uzbiera suma potrzebna na kanonizację. Może błog. Salomea, gdy otrzyma przy naszej pomocy aureolę świętych, odwróci od nas różne klęski i nieszczęścia, może nie dopuści, aby z Polską działo się kiedyś to, co dziś z Hiszpanią. Wszak Ona nie tylko rodowitą Polką, ale i dzieckiem ż krwi królewskiej. W ręku Jej Ojca, Leszka Białego i brata, Bolesława Wstydliwego spoczywało berło naszej Ojczyzny. Nie są Jej obojętne losy tej ziemi, na której wzrosła, żyła, cierpiała i z niej do szczytu doskonałości się wzniosła.

Nie moja to rzecz pisać o Niej szeroko, bo są na to głowy mądre, uczone. To, co ośmieliłam się napisać do tysięcy Tercjarzy i Tercjarek, niech mi nie będzie wzięte za złe, jeno niech będzie głośnym na całą Polskę podziękowaniem za łaski i zachętą dla tych, co jeszcze nie nabyli ufności i nabożeństwa do Bł. Salomei.

Na kanonizację mojej Najdroższej Patronki ofiaruję 40 zł. *K. R.* Siostra III Zakonu.

W jedności siła...

Stanowisko O. Dyrektora w kongregącji można przyrównać do stanowiska głowy w ciele. Jak w głowieześrodkowuje się cała działalność ciała tak w ręku O. Dyrektora powinny się schodzić wszystkie nici działalności kongregacji.

Lecz jak głowa chociaż kieruje organizmem, to go nie zastępuje a tymbardziej nie absorbuje, tak i O. Dyrektor ani może, ani powinien spełniać wszystko sam przez się. Reguła oprócz Dyrektora wymienia przełożonych, którzy od nałożonych sobie urzędów nie powinni się wymawiać ani ich niedbale wypełniać. Statuta pap. Innocentego XI wymieniają następujących urzędników: Minister czyli br. starszy (Przełożony), Zastępca przełożonego, Mistrz nowicjuszów, Sekretarz, Skarbnik, Infirmarz, Zakrystian, Radni. Ci zatem wszyscy urzędnicy, mający sobie zlecone przez regułę i statuta papieskie specjalne zadania mają te zadania sumiennie wypełniać i w ten sposób przyczyniać się do rozwoju kongregacji. Nie należy wybierać do jakiegoś urzędu tych, którzy nie mają odpowiedniej kwalifikacji, albo tak są zajęci osobistymi obowiązkami, że nie rozporządzają wolnym czasem. Tacy urzędnicy byliby urzędnikami papierowymi i z takich ani ks. Dyrektor nie miałby pomocy ani kongregacja pożytku.

Wszyscy urzędnicy powinni się zbierać raz na miesiąc lub w innym terminie przez Dyskretorium uchwalonym pod przewodnictwem O. Dyrektora i radzić nad sprawami kongregacji. Uchwały większością głosów przeprowadzone wpisze Sekretarz do księgi protokułów i sposób przez Dyskretorium uchwalony poda do wiadomości wszystkich. Br. Starszy, który jest jakoby prawą ręką O. Dyrektora i na zewnątrz kongregację reprezentuje niech czuwa, by uchwały nie zostały martwą literą lecz by nabrały życia przez pracę wszystkich w kierunku wytyczonym. Na następnym zebraniu po przeczytaniu protokułu osądzi dyskretorium czy i w jakiej mierze uchwały przeprowadzono.

P.

Opłacono gotów.

Adres zwrot.: Administracja „Pochodni Serafickiej"
OO. Franciszkanie Kraków, pl. WW. Świętych 5.
Nr. czeku P. K. O. 407.634.

Kalendarzyk na marzec

z uwzględnieniem odpustów zupełnych 3-ch Zak. Franciszkańskich (Z. F.) i absolucji generalnej dla członków III Zak. (A. G.)

1. p. św. Albina b.
2. w. bł. Agnieszki Prask. p. II Z.
3. ś. św. Maryna i Asterego mm.
4. c. św. Kazimierza w.
5. p. św. Jana Józefa od Krzyża w. I Z. (Z. F.)
6. s. św. Kolety p. II. Z. śś. Perpetuy i Felicytaty mm. (Z. F.)
7. **N. IV. Postu,** św. Tomasza u. d. K.
8. p. bł. Wincentego Kadłubka b. w., św. Jana Bożego.
9. w. św. Katarzyny Bolońskiej p. II. Z., św. Fanciszki wd. (Z. F.)
10. ś. śś. Czterdziestu Męczenników.
11. c. św. Eutyma b. m.
12. p. św. Grzegorza p. d. K.
13. s. bł. Agnella z Pizy w. I. Z.
14. **N. Męki Pańskiej (V Postu),** Przeniesienie Ciała św. Bonawentury b. I. Z. d. K.
15. p. św. Klemensa Dworzaka w.
16. w. śś. Cyriaka i Larga mm.
17. ś. św. Patryka b.
18. c. św. Cyryla Jerozolimskiego b. d. K.
19. p. *św. Józefa Oblubieńca N. M. P.* (Z. F. A. G)
20. s. bł. Jana z Parmy w. I. Z.
21. **N. Palmowa,** św. Benedykta op. (A. G.)
22. Wielki Poniedziałek, św. Benwenutego b. I. Z. (Z. F. A. G.)
23. Wielki Wtorek (A. G.)
24. Wielka Środa, św. Gabriela arch. (A. G.)
25. *Wielki Czwartek* (A. G. Z. F.)
26. *Wielki Piątek* (A. G.)
27. Wielka Sobota, św. Jana Domasceńskiego b. d. K. (A. G.)
28. **Wielkanoc** (A. G. Z. F.)
29. **Poniedziałek Wielkanocny.**
30. w. św. Piotra Regalata w. I. Z. (Z. F.)
31. ś. św. Amosa pror.

Za pozwoleniem Władzy Zak. i Diecez. Redaktor O. Czesław Kellar, franciszkanin

Drukarnia „Powściągliwość i Praca" w Krakowie.